Nr. 35. Kraków, dnia 28 Sierpnia 1909. Rok XII.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratów „Obrony Ludu" jest otwarte codziennie rano i popołudniu ulica Pijarska 13.

Redakcya i administracya znajdują się w Krakowie, ul. Pijarska 13.

# OBRONA LUDU

Wychodzi w każdą Niedzielę.

Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Pochwalony Jezus Chrystus!

Ogłoszenia po halerzu od wiersza petitowego w jednej szpalcie.

Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „OBRONY LUDU" KRAKÓW ul. Pijarska 13.

Kosztuje: W Galicyi i całych Austro-Węgrzech rocznie 4 korony (2 złr.), do cesarstwa niemieckiego 4 marki, do Ameryki 2 dolary, do Rumunii, Danii, Anglii i innych państw europejskich 5 koron. — Numer pojedynczy 10 halerzy (5 centów).

Należytość płaci się z góry rocznie lub półrocznie.

## Smutne porównanie.

Przed kilkunastu dniami przybyło przeszło 200 najwybitniejszych Czechów w odwiedziny do bratniego narodu polskiego. Wycieczka czeska spotkała się na ziemi polskiej z niezwykle gorącem, serdecznem przyjęciem. Czechów witano wszędzie, a szczególniej w Krakowie, w Częstochowie i w Warszawie z zapałem, goszczono ich naprawdę jak braci wśród podniosłego uroczystego nastroju. Posypały się z obydwóch stron mowy przepiękne nacechowane głębokiem przywiązaniem i miłością do ojczyzny. Polacy wielbili i wyrażali w swych mowach podziw dla postępu i pracy Czechów na polu narodowem i ekonomicznem, a Czesi unosili się nad przymiotami i nad pamiątkami historycznemi i nad pracą polskiego narodu wśród ciężkich warunków, w jakich się znajduje. Uroczystości się skończyły, wzniosłe mowy przebrzmiały, Czesi wrócili do swej Ojczyzny. Piękne wspomnienia pobytu czeskich gości w ziemi polskiej obudziły w nas i powinny obudzić refleksyę i poważne zastanowienie się czy mówcy tak polskiej jak i z czeskiej strony wypowiedzieli prawdę zgodną z istotnym stanem rzeczy? Na to pytanie przynajmniej dla nas niezmiernie ważne odpowie najlepiej kryteczne, ale szczere porównanie pracy Polaków i Czechów na polu narodowem i ekonomicznem. Porównanie to jest bardzo smutne i upokarzające dla nas Polaków w Galicyi, bo tylko stosunki polskie w Galicyi w tem porównaniu z Czechami bierzemy w rachubę i tylko pracę narodowo-ekonomiczną polskiego społeczeństwa w Galicyi mamy przed oczyma, pisząc te słowa.

A więc przypatrzmy się najprzód patryotyzmowi czyli miłości Ojczyzny u Czechów? Patryotyzm czeski zasadza się w pierwszej linii na praktycznem ukochaniu wszystkiego, co swoje co czeskie! Czech kocha swą mowę, szczyci się, że jest Czechem, wszędzie, gdzie tylko możliwe, używa swej mowy a choć każdy Czech doskonale włada językiem niemieckim, posługuje się nim tylko wówczas, gdy jest koniecznością zmuszony.

Czech nigdy się nie wstydzi swej mowy i swej narodowości, czemkolwiek jest i gdziekolwiek się znajduje. Dla Czecha jest to świętem, jest to wielkiem co czeskie. Czech swej mowy nigdy nie przeplata czy francuszczyzną czy niemczyzną i choćby najdłużej na obczyźnie przebywał, wróciwszy do Ojczyzny, nigdy nie udaje, że zapomniał swej mowy, nie kaleczy jej przekręcaniem z cudzoziemska słów ojczystych i nie używa obcych wyrażeń, boby się ze wstydu spalił. Taki patryotyzm cuda działa, taki patryotyzm z dnia na dzień przysparza Ojczyźnie siły, potęgi i sławy i przed takim patryotyzmem trzeba ugiąć kolano i schylić nisko czoło. To co patryotyzm czeski w ostatnich dziesiątkach lat dla Ojczyzny zdziałał, podziwia cały świat cywilizowany! Czesi istotnie mogą się poszczycić swoją miłością Ojczyzny i mogą być dumni ze swego patryotyzmu. Tam gdzie jeszcze przed kilkunastu laty w Czechach rozbrzmiewał wyłącznie język niemiecki, dzisiaj słyszysz tylko mowę czeską. Czesi zaciekle walczą z niemcami, pragnąc swoją Ojczyznę oczyścić z tych butnych przybyszów. Siły i wytrwałości w tej walce dodaje im prawdziwy patryotyzm. Zdobywają miasto po mieście, wieś po wsi, walczą o każdą kamienicę, o każdy dom, o każdą piędź ziemi a walczą wytrwale, z poświęceniem i wyrywają z rąk niemieckich, bo co było czeskie, w części musi wrócić do rąk czeskich! Taki patryotyzm, to rozumię i tylko taki patryotyzm zasługuje na uznanie prawdziwego patryotyzmu. Taką miłością może się Ojczyzna cieszyć, bo widzi jak jej synowie bronią, jak pracują nad jej wzrostem i nad umocnieniem jej bytu i jej potęgi!

Takimi patryotami są Czesi, z płonącem uczuciem dla Ojczyzny w sercu i z praktyczną tabliczką mnożenia narodowego. Ta gorąca miłość do swej ojczyzny stała się nietylko źródłem samowiedzy i zupełnego odrodzenia narodowego, ale pchnęła Czechów do wytężającej, wprost olbrzymiej pracy ekonomicznej.

Czesi zrozumieli, że fundamentem potęgi Ojczyzny oprócz poczucia i uświadomienia narodowego jest dobrobyt narodu, dlatego cały zasób swej wiedzy i nauki użyli w połączeniu ze zdumiewającą mrówczą pracowitością do podniesienia i ugruntowania dobrobytu swego narodu. Jak wysoko rozwinięty przemysł fabryczny posiadają Czesi i do jakiej doskonałości doprowadzona jest u nich uprawa roli i chów bydła u nas nawet pojęcia się o tem nie ma! Dzisiaj czeski przemysł stoi nietylko na równi z przemysłem niemieckim, ale go w niektórych gałęziach już prześcignął.

Wszystko to zaś zawdzięczają Czesi swej wytrwałej, mozolnej pracy, do której czerpali siły w praktycznie zrozumianej miłości do Ojczyzny! Czech nie ogląda się za towarem z Paryża,

z Londynu lub Wiednia, ale przedewszystkiem szuka swoich czeskich wyrobów. Czech, czy Czeszka uważaliby sobie za ciężki grzech narodowy kupować, czy sprowadzać obcy towar, obcy wyrób, gdy tego rodzaju i na miejscu dostać mogą. Czesi z dumą powiadają, to co jest na mnie, to czeski wyrób i w Czechach zrobiony! Naród, który tak pojmuje miłość Ojczyzny, który tak kocha i tak popiera co swoje, który posiada taką dumę narodową, godzien, by go szanowano, by go naśladowano i by się od niego uczono, jak kochać swój kraj i jak służyć swojej Ojczyźnie.

W następnym numerze „Obrony ludu" przyjrzymy się, jak my wyglądamy wobec Czechów.

As.

# Ojczyzna a matka.

III.

Powiada przysłowie, że gdy ojciec umrze, to dzieci są tylko półsierotami, a jeżeli matka umrze, nie ojciec, to dzieci są całe sieroty, także przysłowie, że żona trzyma trzy węgły, a mąż tylko jeden.

I trapią się uczeni matadorzy nad emancypacyą kobiet. Ten gada tak, tamten owak, a niewidzą w kraju krociowych mas kobiet, już dawno emancypowanych. Oto klacz pług ciągnie, za nią żrebię bieży, kobieta orze, dziecko za nią w koszulce drepta. Otóż jest cała emancypacya. — Kobiety orzą, sieją, rzną piłami w lesie, rąbią drzewo, młócą i t. d. a że nie robią kowalstwa, lub stolarstwa, bo cóżby chłopi robili. A gdy taka baba w zimie wdzieje chłopski kożuch, to trudno odeznać, czy to kobieta, czy chłop ogolony. Jeżeli się tu trafi chłop, co babę bija, to owdzie znowu baba jeszcze lepiej chłopa kijem grzeje, — ot, kto mocniejszy ten lepszy i co tu szukać jakiej emancypacyi u Francuzów, czy Amerykanów.

I te gazetki dla kobiet nie wielkie mają wzięcie. U nas która kobieta czyta, to jeszcze woli chłopską gazetę, a czytając co o parlamencie, lub sejmie, pomrukuje sobie: „Hej skoda, ze mnie tam niema, bo jaby mu tak a tak pedziała, a jak by on mi pedzioł, ze to nie prawda, tobych mu ocy wydrapała". I niejeden z naszych posłów, gdyby tam posłał swoją żonę za siebie, to miałoby daleko lepszy skutek. Mężczyźni często tracą wytrwałość i energię, ale kobiety nigdy nie tracą uporu.

Oto w jednej wsi O. w górach miało być posiedzenie rady gminnej, a był to czas zbierek. Więc schodzą się radni powoli, ale najprzód do karczmy, bo ta była blisko wójta. I tak czekają jedni na drugich, a popijają i siedzą, lecz tamci jakoś nie przychodzą, a drogi czas mija. Aż jedna młoda mężatka B. zbuntowała kilka kobiet i wzięły kołki z płotu. — Hej, kuchy nie wpadną do karczmy a nie zaczną drągami wywijać, fektując łeb nie łeb! Napróżno radny Finiak mityguje „kumoska! kumoska! — dyć wej miejcie rozum kumoska!" ale dostał w łeb drągiem, aż mu czapka spadła. A żyd ze strachu aż na strych uciekł, dostawszy kilka pałek. — I migiem wypróżniły karczmę.

Ileż to razy słyszy się wykrzykującą kobietę: hej żeby ja była wójtem! Gdy teraz wszystko tak szlamazarnie wlecze się na świecie, więc tylko w babach nadzieja, że one ruszą z posad bryłę świata tylko im dać prawo głosowania. To zrobiłoby je obywatelkami, a one to poczucie obywatelskie wpajałyby w swoje dzieci i to byłoby czemś wielkiem dla przyszłości narodu. Jak zaś wiele znaczy patryotyzm panny, czy matki, jak w mieszanych małżeństwach narodowość nie idzie za ojcem, ale za matką, a zatem i patryotyzm, to otem potem, chociaż to ludzie dobrze wiedzą, ale przypomnieć nie szkodzi.

Chłop ze wsi.

# Sprawy ludowe.

**Klęska gradowa**. Nie przesadzimy, mówiąc, że nieszczęśliwszego kraju, jak Galicya chyba na świecie niema. Ludziska wciąż cieszą się nadzieją, choć jak powiadają, nadzieja to matka głupich a może też ten rok będzie lepszy! A tu jakby na uwziątek, w jednym roku powodzie, w drugim znów dla odmiany posucha a w trzecim gradobicie. Ot w koło p. Macieju! Ale to w koło straszliwie boli.

Ten rok oprócz słoty popisuje się gradem! Bez tego popisu, lud wie doskonale co grad potrafi! Niszczy łamie i młóci zboże — tylko nie w stodole!

Ostatniej takiej niszczycielskiej sztuki dokazał grad w pow. gorlickim, a nie pominął i gminy Bystry, gdzie większą część plonów zupełnie zniszczył. Tej krzywdy gradobicia biedakom nikt nie wynagrodzi. Z tego się pokazuje, jak doniosłem dla ludu było żądanie posła ks. Szpondra, aby parlament uchwalił wstawianie do budżetu państwowego rok rocznie odpowiednie sumy na ratowanie rolników zniszczonych klęskami elementarnemi. Sprawa tak bardzo ważna nie może dostać się pod obrady, bo dla bardzo wielu posłów

# Krzyżacka mać.

Opowiadanie historyczne podług powieści Sienkiewicza p. t. Krzyżacy.

(Ciąg dalszy).

— Nie zabit — odparł Czech; — w dobrem zdrowiu.

Usłyszawszy to, Maćko zawstydził się nieco i począł sapać, wreszcie odetchnął głęboko.

- Chwała Chrystusowi Panu! — rzekł. Gdzie zaś jest?

— Do Malborga pojechał, a mnie z nowinami tu przysłał.

— A on po co do Malborga?

— Po żonę.

— Bój się, chłopie, ran Boskich! Po jaką żonę?

— Po Jurandową córkę. Będzie o czem prawić choćby całą noc, ale pozwólcie, poczesny panie, abym też odsapnął, bom się zdrożył okrutnie, a od północka ciegiem jechałem.

Więc Maćko przestał na chwilę pytać, głównie jednak z tej przyczyny, że zdumienie odjęło mu mowę. Ochłonąwszy nieco, zakrzyknął na pachołka, by dorzucił drew do ogniska i przyniósł Czechowi jeść, poczem jął chodzić po izbie, wymachiwać rękoma i mówić sam do siebie:

— Uszom nie wierzyć... Jurandowa córka... Zbyszko żonaty...

— I żonaty i nie żonaty—rzekł Czech.

Dopieroż jął zwolna opowiadać, co i jak było, a tamten słuchał chciwie, przerywając kiedy niekiedy pytaniami, bo nie wszystko było jasno w opowiadaniu Czecha. Nie wiedział naprzykład dokładnie Głowacz, kiedy się Zbyszko ożenił, bo nie było żadnego wesela, twierdził jednak napewno, że ślub był i że się to stało za przyczyną samej księżny Anny Danuty, a wydało się przed ludźmi dopiero po przyjeździe Krzyżaka Rotgiera, z którym Zbyszko, pozwawszy go na sąd Boży, potykał się wobec całego Mazowieckiego dworu.

— Aa! Potykał-ci się? — zawołał błysnąwszy oczyma, z okrutnem zaciekawieniem Maćko. — No i co?

— Na dwie połowy Niemca rozwalił, a i mnie też Bóg z giermkiem poszczęścił.

Maćko znów począł sapać, tym razem z zadowolenia.

— No! — rzekł: — chłop on to jest nie na śmieć. Ostatni z Gradów, ale, tak mi dopomóż Bóg, nie pośledni. Juści! a wówczas z Fryzami?... Prawy wyrostek był...

Tu spojrzał uważniej raz i drugi na Czecha, poczem znów:

— Ale i tyś mi się udał. I widać nie łżesz. Ja ci łgarza i przez deskę poczuję. Nic jeszcze ten giermek, bo sam mówisz, żeś nie miał wiele do roboty, ale żeś tamtemu psubratu ramię skruszył, a przedtem tura zwalił, to godne uczynki.

Poczem spytał nagle:

— A łup? czy także godny?

— Wzięliśmy zbroje, konie i chłopa dziesięciu, a ośmiu wam młody pan przysyła.

— Cóże z dwoma uczynił?

— Odesłał z ciałem.

— Nie mógł to książę swoich pachołków wyprawić? Tamci już nie wrócą.

Czech uśmiechnął się na tę chciwość z którą zresztą Maćko często się zdradzał.

— Młody pan nie potrzebuje na to te-

z Galicyi, bank bośniacki zdaje się być ważniejszym, jak bieda i nędza chłopów galicyjskich.

Piękna to rzecz „kochaj bliźniego jak siebie samego", ale przecież „bliższa koszula ciała" i o tem włościańscy posłowie z Galicyi powinni pamiętać.

Bronić chłopów bośniackich jest rzeczą chwalebną, ale obowiązkiem włościańskich posłów z Galicyi jest przedewszystkiem bronić chłopów galicyjskich. Jeżeli chce się drugiemu wiszącą kapkę u nosa obetrzeć, trzeba mieć najprzód swój nos w porządku i temu chyba każdy przyzna słuszność. Tymczasem sprawa banku bośniackiego rozbiła parlament, skutkiem czego wiele bardzo ważnych spraw dla naszych włościan upadło oczywiście z ogromną szkodą dla nich. Tyle razy nadstawialiśmy swe piersi w obronie obcych, a czy ci wystąpili kiedy w obronie naszej? Wyszliśmy na tej szlachetności, jak Zabłocki na mydle. Brońmyż najprzód siebie, a potem możemy i drugim w razie potrzeby z pomocą pospieszyć. Tę zasadę niech sobie nasi posłowie zwłaszcza włościańscy wezmą do serca i niech się nią kierują. Wybrali ich chłopi galicyjscy, zatem niech bronią najprzód swoich wyborców!

## Synowie djabła.

Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami bożymi!!! — No — to już chyba nie może być wyższy zaszczyt dla marnego człowieka. — A przecie, jak mało ludzi stara się o ten tytuł boski! Lecz jakże się mają starać skoro ci najwyżsi, najmiłościwsi, co mają władzę pokój czynić, właśnie oni wiecznie sieją zawiść i niezgodę. Divide et impera jest ich zasadą, to znaczy: kłój, knysaj, szczuj jednych na drugich, podpalaj, a tak będziesz zawsze panował, a gdyby wszyscy żyli w zgodzie, tu pewnie obróciliby się przeciw tobie. Zresztą gdyby naraz zabrakło złodziejów, łotrów, oszustów i wszelakich gwałtowników, ileż by wspaniałych panów straciło swój chleb przewyborny, a cóż dopiero, gdyby nastała jedna owczarnia i jeden pasterz. Różne na świecie są kunszafty.

Atoli, jeżeli pokój czyniący będą nazwani synami bożymi, ergo, viceversa, siejący gniew i zawiść, będą nazwani synami djabła, rozumie się.

Gdy prawdziwa oświata uszlachetnia ludzi i prowadzi do zbratania narodów, zląkł się tego Prusak i dalejże szczuć ludzi na ludzi. Te wszystkie awantury Czechów z Miemcami są prusaka dziełem, a mimo to, on jest bardzo dobrym przyjacielem Austryi — Co? To jest pewne, że zagroził wojną Rosyi, jeżeli ta dałaby jaką wolność Polakom. Prus chwali Węgrów dla tego, że Słowian tępią, chociaż się tam i Niemcom djable cięgi dostają. mniejsza oto, byłe Słowianie cierpieli; gdzie tylko Słowianom krzywda się dzieje, tam zpewnością w tem jest ręka Prusaka.

Otóż i ja żyłem po przyjacielsku z jednym Niemcem, ale to tak intim gemüthlich, więc zaproszenia, prezenciki, bo u Niemców taki zwyczaj, że gdy jedzie do jakiego wielkiego miasta n. p. do Wiednia, to musi każdemu przyjacielowi jakiś prezent przywieźć, chociaż sam jest nie bogaty, a święta Bożego Narodzenia stanowią u nich duży wydatek na podarki dla znajomych. Zato w szynku Niemiec tylko sobie płaci i to jest bardzo mądre. Nie tak jak u nas, gdy zasiędzie n. p. pięciu, więc płaci najprzód jeden dla wszystkich, potem drugi i t. d. a tak pijaństwu niema końca i żaden nie może odejść kiedyby chciał.

I tak żyliśmy z tem Niemcem po przyjacielsku, gwarząc o niemieckich krajach i zwyczajach i o niemieckich książkach beim Bier, rozumie się, bo z Niemcem trudno inaczej. — Aż z czasem zaczyna Niemiec marudzić dąsać się: to się mu niepodoba galicyjskie Schulwesen, jakby ja to był prezesem Rady Szk. Kr., to go gniewa aristokratisch klerikalische Beschafenheit der Polaken, to go irytuje Polenklub, jakby ja to był prezesem Koła Polskiego. — I tak mi łeb suszy.

Poczekaj szwabie, dam ja ci Polenklub bo kto wie do czego między nami przyjdzie, — a wszystkiemu winien cesarz pruski.

S. A.

## Krzywdy i nadużycia.

**Do świetnego artykułu o awanturnikach przy Podgórzu Krakowskim.** Z pewnością trudno w świecie znaleźć taką chołotę, jaka się przy fabrykach Podgórskich gnieździ. Tylko czekać, kiedy się tam zaczną systematyczne rabunki i mordy, bo już wszelakie napaści i udry są na porządku dziennym i nocnym. Ja tam bawił zeszłego lata koło Swoszowic, więc musiałem z Krakowa często przejeżdżać tędy. Dwa razy koń nas uratował, gdy za nami leciał grad kamieni. Raz szedłem piechotą w nocy i wśród wsi przed karczmą zastępuje mi drogę banda drabów rozkazując, abym im kupił wódki i cygarów. Ja miałem rewolwer w kieszeni, ale cóż z tego? Wszak niedawno tam jeden zabił najgorszego urwisza w karczmie na Rajsku, to zamiast premii, choćby takiej, jaką dają za zabicie wilka, on dostał 7 lat kryminału.

Karczma już była zamknięta, a żydzi tam miewają grube deskowe okienice, ale zacząłem pukać i prosić, po niemie-

---

raz już zważać — rzekł. — Spychów wielka dziedzina.

— Wielka! ba i co? ale jeszcze nie jego.

— Jeno czyja?

Maćko aż wstał.

— Powiadaj! A przecie Jurand!

— Jurand u Krzyżaków w podziemiu, i śmierć nad nim. Bóg wie, czy wyżyje, a jeśli wyżyje czy wróci; choćby zaś wyżył i wrócił, przecie czytał ksiądz Kaleb jego testament i zapowiedział wszystkim, że dziedzicem ma być młody pan.

Więc żal Maćka stał się większy od radości z nowego dziedzictwa — i z tego żalu, z niepokoju jął znowu wypytywać Czecha, jako to było z tym ślubem i kiedy było.

A Czech na to:

— Mówiłem już wam, poczesny panie że kiedy było nie wiem, a czego się domyślam, na to nie przysięgnę.

— Czego się domyślasz?

— Przeciem ja młodego pana nie odstępował w krzypocie i w izbie razem z nim spałem. Raz tylko wieczór kazali mi pójść precz, a potem widziałem jak do pana poszli: sama Miłościwa, a z nią panna Jurandówna, pan de Lorche i ksiądz Wyszoniek. Dziwowałem się nawet, bo panna miała wianuszek na głowie, alem myślał, że sakramenta będą panu dawać. Może to było wtedy... Pamiętam, że pan kazał mi się przybrać pięknie, jak na wesele, ale myślałem też, że to dla przyjęcia Ciała Chrystusowego.

— A potem jakoże? ostali sami?

— I! — nie ostali sami, a choćby i ostali, pan wówczas i jeść nie mógł o własnej mocy. A już byli po panienkę ludzie, niby od Juranda — i nad raniem pojechała.

— Nie widział że jej Zbyszko od tego czasu.

— Oko ludzkie jej nie widziało.

Nastała chwila milczenia.

— Cóż myślisz — zapytał po chwili Maćko: — oddadzą ją Krzyżacy, czy nie oddadzą?

Czech począł trząść głową, poczem kiwnął ręką ze zniechęceniem.

Wedle mojej głowy, — rzekł zwolna — to ona już przepadła na wieki.

Dlaczego? — zapytał prawie ze strachem Maćko.

— Bo, gdyby mówili, że ją mają, to byłaby nadzieja. Możnaby się było skarżyć, albo okup zapłacić, albo siłą ją odbić. Ale oni mówią tak: Mieliśmy jakowąś odbitą dziewkę i daliśmy Jurandowi znać, on zaś jej nie przyznał, a za nasze serce ludzi nam tyle nabił, że i dobra potyczka więcej nie kosztuje.

— To Jurandowi pokazywali jakowąś dziewkę?

— Mówią, że pokazywali. Bóg raczy wiedzieć. Może nieprawda, a może pokazali mu inną. To jeno prawda, że ludzi pobił, i że oni gotowi przysiądz, że panny Jurandówny nigdy nie porywali. I to jest okrutnie ciężka sprawa. Choćby mistrz dał rozkaz, to mu też odpowiedzą, że jej nie mają. I kto im dowiedzie? Tembardziej, że dworscy w Ciechanowie mówili o Jurandowym liście, w którym stoi, że ona nie u Krzyżaków.

— A może nie u Krzyżaków?

— Prosim Waszą Miłość!... Już jeśliby ją zbóje porwali, to przecie nie dla czego innego, jeno dla okupu. A przytem zbóje nie potrafiliby ni listu napisać, ni pieczęci pana ze Spychowa uczynić, ni zacnego pocztu przysłać.

(C. d. n.).

cku, bo po polsku by o nic żyda nie uprosił. Potem ja podałem drabom litrówkę gorzały i 10 cygar. — Odeszli, ale zasadzili się na mnie przy drodze do zakładu kąpielowego w Swoszowicach, gdy ja poszedł w przeciwną stronę do Wróblowic. — Tam już ludzie tak urządzają się aby nocą z Krakowa nie wracać, chyba w dużej liczbie lub bardzo dobremi końmi, bo co chwila stoi na drodze banda drabów, która nikogo spokojnie nie przepuści. A im bezczelniejszy urwisz, tem większy ma szacunek i ci młodzi starają się być mu podobnymi.

A przyczyna tego jest taka: wyobraźmyż sobie człowieka, który jest automatem przy pracy, a nigdy o niczem wyższem nie umie myśleć. Myśli prostaczka mogą zajmować pewne pojęcia religijne. Ten robotnik już do tego smak stracił, a sprawa Ojczyzny, gminy, przyszłości narodu nigdy mu do głowy nie przychodzi, więc przemyśliwa gdzie jaki zrobić wybryk lub szelmostwo. Jak przy wielkiem świetle powstają największe cienie, tak przy wielkich miastach, siedliskach najwyższej oświaty i cywilizacyi, istnieje najciemniejsza i najpodlejsza hołota. Taki góral z pod Babiej Góry jest inteligent w obec takiego podmiejskiego chłopa, który nigdy nic nie czyta, a widok miasta wystarcza mu za wszystko. W takiej parafii Wróblowice 7 kilom. od Krakowa, niema szkoły, a wątpię, czy do tej parafii przychodzi chociaż jedna ludowa gazetka, choćby taka „Prawda". Tam, jeżeli się znajdzie człowiek niby myślący, to jest albo taki pseudo socyalista, co niecierpi księdza, ani dziedzica, ale także nie cierpi wójta gminy, kółka rolniczego, kasy ludowej i t. d. Albo się trafi lizuń który wprawdzie się kłania panu i księdzu, ale najwyższą dla niego powagą jest komisarz starostwa, bo przy ostatnich wyborach zarobił parę set koron.

Zresztą nikt nic nie myśli. Człowiek obywatel zaczyna się od organizacyi, od zrzeczenia się do wspólnego pożycia. Tam zaś żadnej organizacyi niema, bo jeżeli co zaczną robić klerykali, to zepsują socyaliści i nawzajem, więc ci ludzie dowiedzieli się od klerykałów, że socyaliści to są największe łajdaki, zaś od socyalistów się dowiedzieli, że klerykalni to są najwięksi wyzyskiwacze i oszusty, więc sobie chodzą takie basałygi, aby bić kto się nawinie. A mówiąc prawdę, lepszą by już była organizacya socyalna, niż wcale żadna, bo socyaliści nie pozwoliliby członkom swym napadać biednych ludzi po drogach, albo bić biedaków z drugiej wsi, że przyszli roboty szukać.

Ale u nas, skoro nic niepomaga szkoła, której zresztą miejscami niema, ani kościół, więc w tobie żandarmie jest cała nasza nadzieja, w twej pikielchaubie i gwerze! Ciebie mamy czcić jak św. Floryana, o ty, święty Perpendykule życia naszego na ziemi.

*A. Sygoń.*

---

## Duchy wymierzają straszną karę.

Było kiedyś trzech braci Steinhausów: Ludwik, Jakób i Piotr, lecz w tym czasie, kiedy ich poznałem, było ich tylko dwóch — Piotr już nieżył.

Jako ludzie bardzo bogaci, bracia Steinhausowie trawili czas na ciągłych wycieczkach po Alpach. Nikt lepiej od nich nie znał bardziej krętych ścieżyn górskich, nikt nie widział więcej pięknych widoków. Odważni do szaleństwa, przedsiębrali wycieczki najniebezpieczniejsze, bez przewodnika krążyli po lodowcach, wspinali się na najwyższe szczyty.

Poznałem ich w hotelu górskim, po wycieczce do Interlaken, w samą rocznicę śmierci Piotra.

Był to ciepły wieczór czerwcowy. Bracia siedzieli przy stole smutni, przybici, a o śmierci Piotra opowiadali mi w sposób następujący:

Jakób, będąc chorym, nie mógł towarzyszyć braciom w wycieczce na Jungfrau; poszli więc we dwóch. Z wycieczki powrócił sam Ludwik i szalejąc z rozpaczy, opowiedział straszny los Piotra. Nieszczęśliwy obsunął się ze skały i spadł w przepaść...

Dziwna rzecz. Słuchając opowiadania zrozpaczonych braci, doznałem niezwykłego, wrogiego względem Ludwika uczucia. W oczach jego widziałem coś zdradzieckiego, nikczemnego, a w głosie słyszałem: „śnieg miękki, przepaść głęboka... świadków niema, spadek duży..." Niewiedziałem, czy to majaczenie, czy jasnowidzenie?

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Minęło dwa lata. Już teraz na świecie był tylko jeden z braci Steinhausów, Ludwik. Jakób zginął taką samą śmiercią, jak Piotr: obsunął się ze skały i wpadł w przepaść, gdzie znaleźli go martwym pasterze. Ludwik znowu cudem jakimś ocalał.

Gazety rozpisywały się o wypadku szeroko. Czytając opisy, znowu myślałem to samo, co pierwszego dnia mojej znajomości z Steinhausami. Znów powrócił sam Ludwik i został spadkobiercą brata!... Dziwny przypadek!...

Od tego czasu minął rok. Był cudny wieczór sierpniowy. W towarzystwie wielu turystów, przebywałem w jednym z tych hoteli szwajcarskich, gdzie zlatuje się więcej orłów, aniżeli podróżnych, aby zachwycać się pięknymi widokami. A widok tam był prześliczny!

Dokoła hotelu wznosiły się czarną ścianą lasy sosnowe; poniżej skłony gór okryte kasztanami; jeszcze niżej wspaniałe wille, tonące w gajach cytryn i pomarańcz. W dali, między skałami, przylepione jak gniazdo jaskółek, tulą się szałasy pasterskie, pasą się stada...

Zmęczeni, z radością weszliśmy do hotelu wiszącego nad bezdenną przepaścią i zasiedliśmy do stołu, przy którym zastaliśmy już Ludwika Steinhausa. Był on teraz, ze względu na tragiczną śmierć braci, osobistością bardzo pomiędzy turystami znaną.

Wieczór był cudowny. Otworzyliśmy drzwi na balkon. Łagodny wiaterek donosił do nas brzęk dzwonków powracających stad.

Siedziałem obok Ludwika Steinhausa, naprost drzwi. Byłem tak uprzedzony do tego człowieka, że nie mogłem rozmawiać z nim bez przymusu, jak inni, i od czasu do czasu rzucałem z pod oka spojrzenie na głośnego turystę.

Nagle Ludwik zbladł jak płótno. Z oczu jego wyjrzał strach śmiertelny, włosy powstały mu na głowie. Patrzał uporczywie na drzwi balkonu, wprost których siedzieliśmy obaj.

Spojrzałem w tym samym kierunku i skamieniałem z przerażenia. Na balkonie ukazały się dwie postacie, dwa widma... W jednem poznałem Jakóba Steinhausa, w drugiem domyśliłem się najstarszego z braci, Piotra.

Widma stanęły nawprost przerażonego brata i rozkazującym ruchem kazały mu iść za sobą.

Drżący, zimnym zlany potem, nie miał siły oprzeć się żądaniu. Zataczając się, wstał z krzesła, i jakby poruszany niewidzialną siłą, poszedł prosto do drzwi. Za drzwiami widma schwyciły go z dwóch stron pod ręce i pociągnęły ze sobą.

Rzuciłem się do drzwi, krzyknąłem głośno, przerażony. Towarzysze wybiegli za mną i wszyscy patrzeliśmy ze zgrozą, jak Ludwik, ciągnięty przez dwa widma, szedł coraz prędzej. Coraz wyżej wstępował na ostry wyskok skały, wiszący nad bezdenną przepaścią...

Jasna tarcza księżyca obojętnie płynęła po ciemnym błękicie nieba, gwiazdy spoglądały w dół, na ziemię.

Ludwik padł na kolana nad brzegiem przepaści jakby błagając o litość. Lecz widma były nieubłagane.

Jeszcze chwilka i Ludwik Steinhaus runął w przepaść... W tej samej chwili zniknęły oba widma.

Towarzysze moi spoglądali zpodziwem i zgrozą na dziwne samobójstwo, ja wiedziałem, że jest to... kara!

A niebo było jednakowo błękitne, księżyc tak samo świecił obojętnie, gwiazdki mrugały... Gdzieś daleko słychać było piosnkę pastuszą i dźwięk dzwoneczków opóźnionych krów...

---

## Ostatnie wiadomości ze świata.

**Wiedeń** Największem dziś staraniem rządu jest uruchomienie sejmu czeskiego. Na dzisiejszą sytuacyę zapatruje się bar. Bienerth jak najlepiej, gdyż opozycya słowiańska jest nieco przystępniejsza. Izba posłów, która będzie zwołana w pierwszych dniach października, będzie obradowała nad nowym planem finansowym. Kraje zamiast udziału w dochodach z usuniętego podatku od piwa mają otrzymać prawo podwyższenia tego podatku we własnym zakresie.

**Zadanie parlamentu.** Najważniejszem zadaniem parlamentarnem będą nowe przedłożenia finansowe, nad którémi obecnie minister Biliński pracuje. Powiedzieć o nich można teraz jedynie tyle, że wyposażenie budżetów krajowych przez skarb państwa musi być ograniczone wobec zaniechania podwyżek podatkowych z piwa. Rząd musi zatem starać się o to, aby kraje ten uszczerbek pokryły we własnym zakresie działania. Może się to stać przez podwyższenie krajowych opłat od piwa. Projektowane obłożenie krajowymi podatkami węgla i wód mineralnych jest niedopuszczalne — najwyżej można by myśleć o jakiejś opłacie krajowej od wód mineralnych i zwrócić się poważnie do pomysłu opodatkowania przedmiotów zbytkownych.

**Zwołanie Sejmów.** Cesarz zgodził się na wniosek rządu, aby zwołać na krótkie

sesye sejmy krajowe, a dopiero stosownie gdy te normalnie się odbędą, zwołany będzie parlament z początkiem października.

**Wybuch w gazowni genewskiej**. Dnia 23 sierpnia o godz. 4·30 m. popołudniu, nastąpiła nadzwyczaj silna eksplozya w miejskiej gazowni w budynku, w którym czyszczono gaz. W mieście w obrębie kilometra wyleciały wszystkie szyby w oknach. Do godziny 5 po południu wydobyto 2 zabitych. Liczba zabitych jest bardzo wielką. Omnibusy hotelowe i inne rozporządzalne wozy przewożą rannych do szpitala kantozowego. — Gazownia stoi w płamieniach. W mieście wypadek sprawił wielkie poruszenie. Wszystkie sklepy są zamknięte. Skutki wybuchu były straszne. Wielki gazometr pękł w dolnej części. Wiele domów w długim promieniu koło gazowni zniszczonych. Pożar, który wybuchł przy eksplozyi zdołano stłumić, zamykając dopływ gazu. Szkoda olbrzymia.

**Ofiary wybuchu**. Ogólna liczba zabitych wynosi 13, w tej liczbie 3 inżynierów, 1 werkmistrz i 9 robotników. Wśród zabitych jest paryski inżynier Parvilly, który w chwili katastrofy zwiedzał fabrykę. Ulice, które były oświetlane gazem, są teraz pogrążone w ciemności; kawiarnie są oświetlone lampionami.

**Walki w Maroku**. Hiszpański jenerał Martinez został wzięty do niewoli przez Kabylów. Naczolny komenderujący jenerał Marina kazał zapytać, pod jakimi warunkami wypuszczą uwięzionych. Przewódca Kabylów odpowiedział: „Przychodzicie zapóźno. Cierpimy wskutek braku środków żywności i musieliśmy naszych więzniów zastrzelić“. Lada dzień oczekują wielkiego i stanowczego ataku ze strony Hiszpanów. Kabylowie zbliżają się do posterunków hiszpańskich. Hiszpanie są tak rozgoryczeni losem jenerała Martineza, że nie chcą dawać Kabylom pardonu. Dalsze posiłki mają wnet przybyć do Melilli.

**Teren walki**. Walka toczy się naraz w kilku punktach, przyczem Hiszpanie z wielkim trudem i stratami odparli atak Kabylów na Alhucemas i tylko ogień kanonierek uratował tę ważną fortyfikacyę hiszpańską. O wyniku bombardowania czy też bitew pod Penon i Veter nic jeszcze dotychczas niewiadomo. Ostra cenzura depesz nie przepuszcza żadnych informacyj. Ale nadzieje Hiszpanów, których liczba wynosi podobno już 40.000 są dobre, gdyż mają przeciwko sobie tylko 20.000 Kabylów. Przytem przewaga dział nad karabinami niewątpliwie musi się zaznaczyć w sposób stanowczy, pomimo nieopisanego męstwa dzikich mieszkańców Ryfu, i gdyby nawet przyjąć z pewnem zastrzeżeniem tak szczupłą ich ilość — 20.000 — która wydaje się zbyt szczupłą wobec poprzednich informacyi, gdzie liczono ich na 30 do 50 tysięcy.

**Okrucieństwa Marokańczyków**. Ale jest jedna jeszcze okoliczność, która przechyla szalę na stronę Hiszpanów. Oto w wojskach generała Marina panuje straszliwe wzburzenie z powodu rozstrzelania przez Kabylów wziętego do niewoli generała hiszpańskiego wraz z kilkunastu żołnierzami. Niesłychane to w dziejach wojen okrucieństwo, wykraczające przeciwko elementarnym zasadom o jeńcach, jest tylko małą próbą tego, do czego są zdolni ci afrykańscy barbarzyńcy, kiedy walczą z nieprzejednanym wrogiem w obronie własnych siedzib.

Jakimi zaś są ich zwykłe obyczaje wojenne — świadczy opis wstrząsających okrucieństw, których świeżo dopuścił się, sułtan Mulej-Hafid nad schwytanymi stronnikami pokonanego przed kilku dniami pretendenta do tronu Bu-Hamary. Wraz z wiadomością o tem umocnieniu władzy marokkańskiego sułtana, nadeszły do Tangeru opisy, których Europejczyk nie może czytać spokojnie.

Do Fezu miały przybyć właśnie w chwili gdy Mulej-Hafid modlił się w meczecie, liczne karawany, niosące mnóstwo odciętych głów ludzkich, oraz wiodące wielu jeńców. Sułtan rozkazał wojskom ustawić się w czworobok i w środek tego wprowadzić nieszczęsnych jeńców. A potem gdy muzyka akompaniowała uroczystemu wersetowi z Karanu: „Niech Allah] ześle naszemu panu i władcy najdłuższe życie!“, ucinano po kolei jeńcom prawe ręce i lewe nogi, poczem rzucono te straszne szczątki do wrzącej smoły, aby powstrzymać upływ krwi. Tak postąpiono też z sekretarzem z Kadisu i dyrektorem muzyki pretendenta. Oprócz tego, jakby sądząc, że za małą przykrość im uczyniono wyrwano im wszystkie zęby. Dyrektor orkiestry omdlał przy tej operacyi, więc, aby go ocudzić (chcąc żeby przytomnie znosił te potworne męki), rozerznięto mu usta aż do uszu, odcięto policzki, a w w końcu wyłamano szczęki.

Te niepojęte, krew ścinające w żyłach pastwienia się nad jeńcami, nie są bajką. Według „Matina“, potwierdzili ich autentyczność konsulowie poselstw europejskich.

**Katastrofa okrętowa**. Argentyński parowiec „Columbia“, który miał na pokładzie podróżnych jadących do Montevideo, zderzył się z niemieckim parowcem, który pełnił służbę lokalną. Zderzenie nastąpiło tuż u wjazdu do portu Montevideo i spowodowało zatonięcie „Columbii“. Ofiarą katastrofy miało paść 150—300 osób przeważnie kobieb'i dzieci. Tylko niewielu podróżnym udało się uratować. Kapitan „Columbii“ chciał popełnić samobójstwo — zapobieżono jednak temu.

**Strejk w Szwecyi**. Donoszą ze Sztokholmu: Położenie strajkujących z dniem każdym staje się coraz cięższe. Wielu robotników oświadczyło, że zamierza podjąć pracę na nowo. Sądzą tu powszechnie że strajk jeneralny w zupełności się nie udał i nie przyniósł żadnego pozytywnego rezultatu.

---

# KRONIKA.

**Niezwykły zakład**. „Odesskija Wiedomosti“ donoszą o niezwykłym zakładzie pomiędzy naczelnikiem ziemskim z powiatu benderskiego gub. besarabskiej, p. Kolibabą, a jego przyjacielem, nadzwyczaj bogatym właścicielem ziemskim z tego powiatu p. Kilczykiem. Kolibaba podsunął Kilczykowi myśl utworzenia we wsi Kamrot gimnazyum żeńskiego. Kolibaba często nalegał, ale Kilczyk nie zgadzał się pod najrozmaitszymi żartobliwymi pozorami. Gdy pewnego razu Kolibaba energicznie zaczął swego przyjaciela namawiać, ten rzekł:

— Dobrze, dam środki na utworzenie gimnazyum i będę je utrzymywał, ale pod jednym warunkiem...

— Jakim? — zapytał uradowany przyjaciel.

— Jeżeli pan w przeciągu miesiąca wykosi własnoręcznie ośm i pół dziesięcin owsa. Zgoda?

— Czy pan to poważnie mówi?

— Najzupełniej poważnie!

— Doskonale! Zgadzam się i jutro stanę do kosy.

Wiadomość o tym oryginalnym zakładzie szybko przedostała się do okolicznych wiosek; wszyscy przyjęli wiadomość za żart. Jakież było ich zdziwienie i radość, gdy ich naczelnik ziemski z kosą w ręku stanął do kośby. Pole, gdzie pracował Kolibaba, stało się swego rodzaju miejscem pielgrzymek. Nad pracą Kolibaby czuwało stale dwóch studentów. Istotnie Kolibaba skończył swą pracę na 5 dni przed terminem i zakład wygrał. W chwili ukończenia pracy, zebrał się naokoło niego tysięczny tłum, porwał go na ręce i urządził mu gorącą owacyę. W tych dniach ma się odbyć na jego cześć olbrzymi raut. Otwarcie gimnazyum żeńskiego za wygrane pieniądze odbędzie się w przyszłym roku szkolnym.

**Nie powiodło się rzezimieszkom**. Pisma neapolitańskie donoszą, że jeden z robotników na dworcu towarowym w Bonawencie znalazł skrzynkę zawierającą dwa miliony lirów w banknotach i papierach wartościowych. Wagon, w którym skrzynka była ukryta, stał w Reggio di Calabria podczas trzęsienia ziemi. Ponieważ nikt w całych Włoszech od chwili trzęsienia ziemi nie zawiadomił urzędów policyjnych o tak olbrzymiej zgubie, władze przypuszczają, że suma ta pochodzi z rabunku w gruzach Messyny. Złodzieje po ukryciu skrzynki zostali widocznie spłoszeni, potem wagon przeszybowano gdzieindziej, wskutek czego nie mogli go już odnaleść.

**Co to nauka zdziałac potrafi**. Nowożytna technika inżynierska umie już dawno przenosić z miejsca na miejsce całe domy, kościoły, nawet dworce kolejowe. Niedawno przesłano w Ameryce dom dwupiętrowy, wagi przeszło 200.000 klg. na odległość sześciu kilometrów. Transport wyruszył z miejscowości Sharpsburg w pobliżu Pittsburga do Alleghany w Pennsylwanii. Po odkopaniu fundamentów podniesiono cały dom przy pomocy czterdziestu pras hydraulicznych i przesunięto go powoli ku wybrzeżu rzeki. Zwłaszcza na przestrzeni jednego kilometra mieli inżynierowie wielkie trudności do pokonania z powodu bagnistego terenu. Dom był juz stary, zbudowany przed sześćdziesięciu laty, więc szczególna ostrożność była wskazana. Przewóz domu drogą wodną był znacznie łatwiejszy. Po upływie tygodnia gmach stanął na nowem miejscu nieuszkodzony. Transport kosztował 22 tysiące kor.

**Niby „piękna śmierć“**. „Mosk. Wiedomosti“ donoszą, że w okolicy Iwonowo-Wozneńska powstała nowa sekta religijna, której wyznawcy wierzą, że grzechy żywota można okupić dobrowolną, gwałtowną śmiercią i w tym celu wprowadzili do swoich obrzędów t. zw. „piękną śmierć“. Obrządek ów odbywa się w następujący sposób: Kandydatowi na śmierć owijają współwyznawcy głowę „świętym kocykiem“ i biją go tak długo, aż umrze; wierzą przytem, że dusza umierającego

„piękną śmiercią“ dostaje się prosto do raju. Owa sekta ma podobno wielu zwolenników i ciągle nowych zyskuje.

**Nowe mordercze wynalazki.** W armii austryacko-węgierskiej odbywają się obecnie próby z nowymi pociskami pancernymi piechoty. Nowe uzbrojenie artyleryi w działa ze stalowemi tarczami ochronnemi, tudzież techniczne wzmocnienie terenów bojowych przez nasypy ochronne, spowodowały zarząd wojskowy do wprowadzenia pocisku pancernego, któryby przy uderzeniu w przedmiot twardy u celu nie ulegał deformacyi. Nowy ten pocisk karabinowy systemu Rotha sporządzony jest z hartowanej stali a część jego walcowata tkwi w ołowianej czarce, całość zaś zamknięta jest w płaszczu stalowym. Przy uderzeniu pocisku na tarczę ochronną działa, zdartą zostaje powłoka stalowa i ołowiana, zaś jądro z hartowanej stali przechodzi przez tarczę. Przy doświadczeniach próbnych udowodniono, że pocisk ten przebija na 4000 m. 3 milimetrowe płyty stalowe a na 600 m. łatwo tarcze ochronne artyleryi. Nierozwiązaną jest jeszcze tylko kwestya prochu, który musi być tak zastosowany, aby nadawał pociskom początkową chyżość co najmniej 850 m.

Równocześnie od kilku miesięcy odbywają się próby z granatami ręcznymi i ćwiczenia ze ślepymi modelami tychże. Materyał wybuchowy tych granatów stanowi ekrazyt a w skutkach są one wprost straszne. Zastosowanie ich polega na użyciu w wojnie fortecznej na bliskie odległości, dla wysuniętych straży polowych i w walce na terenie górzystym. W przyszłości mają być zaprowadzone oddziały granatników przy wszystkich pułkach pieszych.

**Łapacz szczurów.** Henryk Daive, łapacz szczurów w Paryżu liczy obecnie 68 lat i jest w przytulisku dla starców. Rozpoczął on karyerę swą w roku 1852, schwytane szczury zaś sprzedawał ludziom, którzy tresowali psy do t. zw. „concours ratiers“. Przed rokiem 1858, t. zn. przed zaprowadzeniem jednolitej kanalizacyi, otrzymał pozwolenie wstępowania do wszystkich kanałów paryskich, aby polował tam na szczury. Z latarnią i fajką schodził co noc do kanałów. Gdy gwizdnął, ze wszystkich dziur pokazywały się szczury. Chwytał je szybko za kark, potem za ogon, okręcając kilkakroć w koło, by je ogłuszyć i wrzucał do worka. Niekiedy w godzinę złapał 100 sztuk, zarabiając w ten sposób 50 franków. W r. 1860 za sztukę płacono 50 centimów, niebawem jednak cena spadła do 10 centimów, lecz w r. 1870 podczas oblężenia Paryża płacono po 3 franki za sztukę. Pewnego dnia zarząd miasta polecił mu schwytać 200 szczurów. Instytut Pasteur'a zaszczepił szczurom tym przeróżne bakcyle, poczem wpuszczono je znowu do kanału, postanowiono bowiem pozbyć się zupełnie szczurów. Deive był w rozpaczy gdyż w ten sposób, sądził, straci zarobek. Lecz szczury zostały, bakcyle im nie zaszkodziły.

**Wykopany skarb.** W pobliżu Dębna, w Kwidzyńskiem w Prusach królewskich, budują obecnie nowy most przez Wisłę. Przy pracach ziemnych nad wzmocnieniem grobli nadbrzeżnej, natrafiono na zakopany skarb, który znajdować się miał w glinianym garnku. Wkrótce gruchnęła po okolicy pogłoska, że robotnicy wydobyli polski skarb wojenny z r. 1848, liczący kilka milionów. Według źródeł autentycznych, sprawa przedstawia się jak następuje:

Pierwszy trafił na skarb 17-letni robotnik Rosiński z Fidlic. Około 8 wieczorem, jakkolwiek panował już zmierzch wieczorny, zauważył on nagle w ziemi wielki pęcherz świński, napełniony dukatami. Wydobył go natychmiast z piasku i usiłował ukryć, lecz spostrzegli to inni robotnicy. W okamgnieniu rozdarli pęcherz i błyszczące dukaty posypały się na piasek. W zaciętej walce tarzali się robotnicy po ziemi, bijąc się o każdą sztukę złota. W zapasach tych uczestniczyło około 50 ludzi. To też po chwili ze skarbu niewiele pozostało. Młody znalazca, którego odepchnięto na bok, zdobył tylko 5 dukatów, nie licząc szturchańców jakimi go obdzielono. Odkrycie skarbu doszło do wiadomości władzy przez karczmarzy, u których robotnicy przepijali łatwo nabyte złoto. Podjęte natychmiast przez żandarmów poszukiwania, okazały się spóźnionemi. Natrafiono na szczątki garnka kamiennego, rozbitego przez parowiec do szlamowania. W piasku znajdowało się kilkanaście monet srebrnych. Większą ich część prawdopodobnie wrzucono z ziemią do Wisły. Złotych monet uratowano kilkanaście. Są to dukaty polskie, każdy z nich wartości 18 m. Pieniądze srebrne pochodzą z mennic pruskich z r. 1816. Wszystkiego razem mogło być około 500 sztuk, lecz z lwią częścią złota ulotnili się robotnicy z Królestwa przez granicę. Przy pieniądzach znajdował się starożytny sztylet obosieczny, który, niestety, połamano. Żandarmi do dziś dnia patrolują po wsiach w Kwidzyńskiem, poszukując dukatów między robotnikami.

**Trwoga przed ołtarzem.** Zaręczyć się jest dość łatwo, lecz wziąć ślub jest dla wielu ludzi rzeczą bardzo ciężką — powiedział sławny psycholog niemiecki Busch. Zwłaszcza zadziwiająco wielką jest liczba mężczyzn, których opanowuje największa, wprost śmiertelna trwoga w chwili, gdy z wybraną swego serca mają z całą powagą stanąć przed ołtarzem. Pewien znany generał angielski, który nie doznawał trwogi, gdy stał naprzeciw paszcz nieprzyjacielskich armat, opowiadał, że dzień przed swym ślubem czuł się zupełnym tchórzem, mimo, że swą narzeczoną kochał głęboko i serdecznie.

Carlyle na kilka tygodni przed tą ceremonią zupełnie nie sypiał ze strachu. Próbował dodać sobie sił czytaniem Kanta i Walter Skotta i tylko przy ich pomocy uspokoił się do tego stopnia, że do swej narzeczonej pisał: „Wziąwszy wszystko razem, zdaje mi się, że przecież całą tę przyszłą ceremonię bierzemy sobie zanadto do serca“. Lecz mimo to i mimo całej swej filozofii był Carlyle w dzień swego ślubu tak rozbitym moralnie, że dopiero po wypaleniu trzech cygar uspokoił się na tyle, że mógł udać się do kościoła.

Niemniejszy strach przed ołtarzem miał i Abraham Lincoln. Przed ślubem swym był on tak zrozpaczony, że przyjacielowi, który go zastał ubierającego się do ślubu na zapytanie dokąd idzie, odpowiedział: „Zdaje mi się, że do piekła“. I rzeczywiście, idąc do ołtarza, wyglądał, jak ludzie idący na szubienicę.

Książę Walli Jerzy, późniejszy Jerzy IV, gdy poślubiał księżniczkę brunświcką Karolinę, był okropnie zrozpaczony. Przed ślubem wypił on tyle wódki, że tylko przy pomocy dwóch przyjaciół mógł się utrzymać na nogach, a w chwili, gdy arcybiskup błogosławił młodą parę, płakał rzewnemi łzami.

Wypadki, że narzeczeni wypiją za wiele dla dodania sobie odwagi, nie są wcale rzadkie. Pewnego narzeczonego, który stanął przed swym proboszczem w Londynie, dodawszy sobie poprzednio za dużo odwagi, odesłał duchowny do domu, zapowiedziawszy, że nie da mu ślubu, jeżeli nie będzie zupełnie trzeźwy. Po kilku dniach zjawia się ten narzeczony „dodawszy sobie jeszcze więcej odwagi“, a duchowny powiada do narzeczonej: „Proszę wziąć go do domu i nie przyprowadzać, chyba w stanie zupełnie trzeźwym“. Na to odpowiada ze łzami narzeczona: „Robiłam, co mogłam, ale nic nie pomoże. Do ślubu nie pójdzie za nic w świecie trzeźwy, musi przedtem napić się“.

Jeszcze radykalniejszym w tym kierunku był niejaki p. Sonnemann, który przed ołtarzem, zastrzelił się w przeddzień swego ślubu i zostawił lakoniczną kartkę ze słowami: „Wybieram drogę lżejszą“. Nawet w chwili, gdy już doprowadzono narzeczonego szczęśliwie do kościoła, nie można jeszcze być pewnym szczęśliwego końca.

Womans Life opowiada, że w miasteczku Lytham pewien narzeczony oświadczył przed ołtarzem, że raczej umrze wpierw, nim się ożeni, a tylko silna ręka brata panny młodej wstrzymała go od natychmiastowej ucieczki.

Pewnemu narzeczonemu w Manchester udało się lepiej. Na zapytanie duchownego, czy narzeczoną swą chce pojąć za małżonkę, odrzekł: „Nie, chcę pójść stąd“ i umknął z kościoła, a rodzina niedoszłej panny młodej dogonić go nie mogła. W pewnem miasteczku belgijskiem stanął znowu niejaki pan Deneck ze swą narzeczoną Celeste Voisin przed merem. Właśnie chciał ich mer ogłosić za małżeństwo, gdy Deneck głośno i przeciągle ziewnął. Na przedstawienie oburzonych tym postępkiem gości, odpowiedział ze spokojem: „Zmieniłem me zapatrywania. Teraz nie chcę się żenić wogóle“. Skutki objawienia swych poglądów nie były dla pana Denecka szczęśliwe. Jego narzeczona wymierzyła mu natychmiast policzek, a jej trzej bracia uznali słuszność jej postępowania i poszli za jej przykładem, tak, że narzeczony począł błagać pokornie o jak najszybsze zakończenie ceremonii. Wprost z kościoła odstawiono go do szpitala, gdzie mógł przez ośm dni swobodnie rozmyślać, jakiego to szczęścia chciał się dobrowolnie wyrzec.

**Za co car daje generałowi dymisyę.** Podczas ostatniej rewii wojskowej w Krasnem Siole w obecności cara i króla duńskiego, generał, dowodzący 22 dywizyą piechoty, przycwałował na koniu przed cara dla złożenia raportu. Koń jego wobec cara zaczął się tak uparcie wspinać, że generał nie mógł sobie dać z nim rady. Za to generał otrzymał dymisyę. Na przykład Mukden, albo krociową kradzież byłby mu car przebaczył.

Wydawca i Red. odpowiedzialny: Ks. Andrzej Szponder. Drukiem W. Poturalskiego w Podgórzu.